Kraków. 25-go Kwietnia 1908 r.

Rok 4. Nr. 9.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 17 „Prawdy."

JAN Z KOLNA.

Przez Teresę Jadwigę

(Dokończenie).

Pokryta lodami i śniegami, zalana ławą wulkaniczną, wyspa Islandya, tylko gdzieniegdzie zielenią skąpo przytrząśnięta przykre uczyniła wrażenie na marynarzach. Niedługo też na niej zabawili. Zwiedziwszy ciekawsze jej strony, zaopatrzywszy się w świeże zapasy żywności, ruszyli w dalszą podróż, pełni otuchy i nadziei, iż dopłyną niebawem do jakiegoś lądu, nieznanego im jeszcze. Lecz wkrótce przekonali się, iż przedsięwzięcie ich nie było rzeczą tak łatwą, jak się to im z początku zdawało. Pogodne zrazu niebo po kilku dniach zasępiły ciemne chmury, i burza straszliwa powstała na oceanie. Marynarze byli w śmiertelnej trwodze, lecz Opatrzność widocznie nad nimi czuwała, bo niebo się rozjaśniło, a oni, nie poniósłszy żadnej szkody, płynęli dalej. Potem inne znów niebezpieczeństwa poczęły ich trapić, trąby morskie, grożące zalaniem, ukryte pod wodą ławice z piasku, rafy, góry lodowe i inne przeszkody; łatwo było rozbić się z okrętem lub uwięznąć wśród lodów.

Znosili przecież odważnie te wszelkie przeciwności; lecz kiedy po kilkumiesięcznej podróży nigdzie dojrzeć nie mogli lądu, gdy spostrzegli przytem, że zapasy żywności, które zabrali z sobą, zaczynają się wyczerpywać, wtedy odwaga zaczęła ich opuszczać. Zwątpienie, wkradłszy się

w ich serca, zasiało w nich ziarno niezgody; Jan musiał znosić codziennie od swych towarzyszów przykre wymówki, iż namówił ich do tak niebezpiecznej wyprawy.

— Zginiemy przez ciebie śmiercią głodową na tej wodnej pustyni; odpowiesz Bogu za zmarnowane nasze życie, za łzy naszych rodziców, żon i dziatek — mówili mu z goryczą.

Inni unosili się gniewem, złorzeczyli i grozili śmiercią.

Jan cierpiał okropnie, żal mu było bowiem tych ludzi; nie upadł wszakże na duchu, wierzył wciąż silnie, iż jeśli wytrwają tylko, znajdą ląd nowy. Słowami pokoju i powagi przemawiał do tych słabych ludzi i przykładem zachęcał ich do wytrwania. Ale cóż mogły pomódz jego słowa, gdy coraz smutniejszy los im zagrażał!

Codzień skromniejsze porcye chleba i solonego mięsa rozdawał Jan swym towarzyszom i codzień głośniejsze szemrania podczas rozdawania posiłku podnosiły się na pokładzie okrętowym.

Obiad odbywał się zwykle w samo południe. Wyczekiwali wszyscy tej godziny niecierpliwie, gdyż dla oszczędności podróżni jadali raz tylko na dobę. Jan nigdy nie spóźniał godziny posiłku, gdy słońce wskazało południe, zjawił się zawsze na pokładzie i rozdawał żywności załodze, zachęcając przytem do cierpliwości.

Jednego dnia wszakże, lubo słońce wyszło już wysoko, on nie pokazał się mimo to załodze; zrazu marynarze czekali cierpliwie, myśląc, że zdrzemnął się nieco, lecz gdy czas upływał, głód dawał się we znaki, a dowódzcy statku nie było widać i kosza żywności również, poczęli ustawicznie spoglądać ku kajucie, gdzie Jan schronił się był od rana.

— Czy myśli nie dać nam nic dzisiaj? — pytali siebie wzajemnie.

Słońce powoli zaczęło zachodzić, niecierpliwość majtków wzrosła, głuche zrazu niezadowolenie zmieniło się niebawem w groźne szemranie.

— Chleba chcemy! — poczęły odzywać się pojedyńsze głosy.

Potem naraz ze wszystkich piersi wyrwał się groźny okrzyk:

— Chleba! chleba!

Słowa te odbiły się o ściany kajuty, dosłyszał je Jan i ręce załamał z rozpaczy.

On już dawno wiedział, iż zapasy żywności są wyczerpane, że nie będzie tego dnia co dać jeść załodze, ani dni następnych; lecz liczył, iż może ułowią jaką rybę, że może ziemię nową odkryją wreszcie...

Tymczasem południe minęło, nadzieje jego spełzły na niczem, a załoga wołała:

— Chleba!

— I cóż im powiem teraz? — pytał sam siebie, — Ha, trzeba prawdę powiedzieć; niech mnie sądzą, niech mnie karzą, jak zechcą!

To powiedziawszy, ujął krucyfiks, stojący na stole, postąpił pewnym krokiem naprzód i stanął na pokładzie spokojny, z czołem śmiało podniesionem.

— Bracia! — rzekł drżącym od wzruszenia głosem, — sądźcie i karzcie mnie; nie mam już dla was chleba. Lecz, Boże, Ty świadkiem przecież jesteś — dodał, podnosząc wzrok ku niebu, — żem nie zawinił względem tych ludzi, że nie namawiałem nikogo do tej niebezpiecznej podróży, przyjmowałem tylko tych, którzy się prosili na mój okręt.

Słowa te i powaga, z jaką były wymówione, oddziałały na wzburzonych marynarzów; przyznali słuszność Janowi. Sami dobrowolnie przedsięwzięli tę podróż, sami prosili go, aby ich zabrał, tylko chęć zysku, tylko nadzieja zdobycia skarbów popchnęła ich do tej niebezpiecznej podróży, ponosili zatem karę za swą chciwość.

Głuche milczenie zaległo na pokładzie; każdy wszedłszy w siebie i uznawszy się winnym, nie śmiał czynić wymówek Janowi.

Widząc tę zmianę usposobienia towarzyszów, Jan przemówił do ich serc, aby nie tracili odwagi.

— Uklęknijmy i polećmy Bogu nasze losy — rzekł do nich.

To powiedziawszy, sam zgiął kolana, za nim inni to samo uczynili. Uroczysta cisza zapanowała na okręcie,

słychać było tylko szum bałwanów i szmer szeptanej cicho modlitwy.

Naraz na pokładzie rozległ się wyraz słodki, upragniony, który oznaczał życie dla nieszczęśliwych marynarzy.

— Ziemia! — krzyknął sternik głosem donośnym

Marynarze porwali się z kolan, powstał i Jan i spojrzał przed siebie; tam zdala czerniały rzeczywiście brzegi jakiegoś lądu.

— Ziemia! — powtórzyły wszystkie usta, a radosne echo tych słów rozległo się daleko po oceanie.

Ożywieni nadzieją, marynarze rozpuścili wszystkie żagle, okręt jak strzała posunął się po przezroczystej wód toni; rozpacz, której przed chwilą oddawała się załoga, ustąpiła miejsca radości; śmiechy, żarty, wesołe pieśni zabrzmiały na pokładzie; zdala widziany ląd wynurzał się tymczasem coraz wyraźniej z fal oceanu. Żeglarze już wątpić nie mogli, że odkryli świat nowy. Wreszcie upragniona chwila nadeszła, okręt zbliżył się do brzegu, szalonej radości okrzyki rozległy się na nim.

Wyskoczywszy razem z całą załogą na ziemię, Jan zatknął na niej znamię duńskiego państwa, oraz krzyż, godło wiary Chrystusowej i zbawienia, poczem padłszy na kolana, gorąco podziękował Bogu za szczęśliwie odbytą podróż.

Marzenia Janka ziściły się zatem, okrył sławą swe imię, bo wskazał światu, że dowodzenia Eriksona i Hernefsona, Islandczyków, żyjących jeszcze na początku X wieku, oraz innych śmiałych marynarzy, mylne nie były, że po za Islandyą znajdował się rzeczywiście świat inny.

Towarzysze Jana i sam król Chrystyan doznali wszakże zawodu, bo też ich przedsięwzięciem kierował cel zupełnie inny: oni pragnęli jedynie znaleść jaką nową kopalnię złota, aby się zbogacić. Tymczasem ziemia odkryta przez Jana z Kolna, zwana dziś Labradorem, okazała się ubogą krainą, śniegami tylko i lodami pokrytą.

Zawiedziony w swych oczekiwaniach Chrystyan nie domyślając się, iż Labrador jest przedsionkiem do krainy złota, srebra i drogich kamieni, zaniechał czynić dalszych poszukiwań, i o odkryciach Jana wkrótce zapomniano.

Dzisiaj Labrador stanowi posiadłość angielską. Tworzy on część północno-wschodnią wielkiego półwyspu, graniczącą z niższą Kanadą, zatoką Hudsońską, cieśniną Bello-Isle i zatoką św. Wawrzyńca. Przy jego wybrzeżach znajduje się mnóstwo skał i wysp, klimat posiada bardzo ostry, lato zaczyna się tam dopiero w lipcu, a już we Wrześniu rozpoczyna się zima. Z tych powodów Labrador należy do najmniej znanych stron Ameryki Północnej; badano dotychczas tylko jego pobrzeża, wnętrze zaś kraju, poprzerzynane nagiemi górami, smutne i ubogie, nie nęci cudzoziemców. Pomimo nazwiska, jakie ma, a które oznacza ziemię orną, w południowej tylko części znajdują się małe topole, nizkie sosny, brzozy i wierzby. Gęste lasy należą tam do rzeczy rzadkich. Na brzegach północnych całą roślinność stanowią trawy, zioła, mchy i bluszcze. Dla Anglii Labrador ważnym jest przecież punktem, gdyż dostarcza jej futer i ryb, których handlem trudni się kompania, utrzymująca wyłącznie w tym celu stacye i osady.

Dopiero w 14 lat po Janie z Kolna, Krysztof Kolumb, tą samą party nadzieją, iż znajdzie świat nieznany jeszcze nikomu, puściwszy się na morską wyprawę odkrył Amerykę. Tak więc nasz ziomek pierwszy zatknął krzyż na ziemi amerykańskiej, lecz, niestety, imię jego jest zapomniane i dziś mało komu jest znane. Odkrycie Labradoru przypisują Cabatowi, z krzywdą tego, któremu się ta zasługa należy.

DO DZIECI.

Pamiętaj dziecino!
Że ci lata płyną,
Że czas szybko mija.
Więc módl się, ucz szczerze,
Anioł stróż cię strzeże,
I Pan Bóg ci sprzyja.

Przy pracy, zabawie,
W każdej innej sprawie
Myśl często o niebie.
Gdy będziesz stateczną,
I dla wszystkich grzeczną,
Kochać będą ciebie.

WIOSNA.

(Ciąg dalszy.)

A wrony, wróble i zięby, które spędziły zimę w dolinie, wszczęły gwar. jak gdyby postradały zmysły.

Biegały w kółko po łąkach, dziobały miękką ziemię, skubały trawę, chociaż dobrze wiedziały, że brzuszki je od tego rozbolą. Trzepotały skrzydłami, wołały „niech żyje wiosna“, wołały szczerze, a donośnie. Sikora towarzyszyła im także, a i strzyżyk, chociaż maleńki, nie zostawał w tyle. Bo i one zimę spędziły z tamtemi i było im również ciężko ją przebyć.

A wrona już nie wiedziała, co ze sobą robić. Zaczęła znowu kłócić się ze swą żoną, z którą przeżyła cały zeszły rok i całą zimę i z którą ostatnio w lutym, tak zawzięcie kłóciła się o zdechłego ciernika. Wróbelek zasiadł obok swej połowicy, uniósł nosek w górę i śpiewał, jak gdyby był conajmniej słowikiem. Sikorka miała istną gorączkę wiosny. Przymykała oczy i opowiadała swej żonce pełne dowcipu bajki o przepysznych robakach i tłustych muchach, które wpadały wprost do gardła i nie trzeba było nawet ruszyć skrzydełkiem dla upolowania ich. Samiec zięba przystroił się w nowy, czerwony naszyjnik, aż żonusia jego omal nie krzyknęła z podziwu.

Zaś samiczka strzyżyka, której mąż w zimie zginął z głodu, czyściła i układała swe piórka.

A książe wiosny śmiał się i przyjaźnie kłaniał się wszystkim.

— Zuchy jesteście! — mówił. — Nacierpieliście się dość biedy i zasługujecie na wesołe dni. Czas jednak, bym i ja pomyślał o moich ptakach.

Obrócił się ku południowi, klasnął w dłonie i zaśpiewał:

O droździe, piegżo, skowroneczku mały,
Słodki czyżyku i jaskółko miła,
Spieszcie, bo wiosna znowu się zjawiła,
Znowu zielenią pokrył się świat cały!
Rozłóżcie skrzydła, szybujcie wokoło!
Kwiaty są w pąkach, niebo szafirowe

Wy, hen w przestrzenie unieście się płowe,
Niechaj wasz świergot rozbrzmiewa wesoło!
Przybywaj, szpaku! przybywaj bocianie!
Ty śliczna czajko, tu spocznij, na łanie,
Niech wszystkich ptaków naraz zabrzmią głosy
I niech gwizdaniem potakują kosy!

Zaszumiało w powietrzu od tysiąca skrzydeł i chmura ptastwa przelotnego opadła na dolinę. Odtąd każdej nocy powietrze pełne było śpiewu ptasiego, a każdego ranka nie było końca świegotowi.

Tu siedział szpak w swej czarnej sukience z orderami na piersiach i gwizdał wesoło. Tam poprzez przestworza pędziła jaskółka, owdzie czyżyk skowronek i dzwoniec skakały w krzakach. Bekas błotny w trzcinie, wzdłuż brzegów rzeki, wyciągał swe tryle tak wzruszająco, iż się na płacz zbierało, drozd dobywał nizkie tony, zaś szczygieł wysokie, kukułka odważyła się zakukać po raz pierwszy, a czajka puszyła się.

(Dokończenie nastąpi.)

WILK I KOZIOŁEK.

(Bajka.)

Był mały koziołek, ogromnie psotliwy,
Każdemu się sprzeciwił, każdemu dokuczył;
Wciąż się koło domu włóczył,
Drażniąc zwierzęta i ludzi.
Naprożno mama nad synkiem się trudzi,
Prożno mu przekłada,
Że mądrzejszym być wypada,
Koziołek niegodziwy
Rad jej nie słucha
I udając zucha,
To się na psa rogami zamierzy,
To kota uderzy,
To od rana do wieczora
Ściga po dworze indora.
Raz ujrzawszy drabinkę, co stała przy domu,
Nic nie mówiąc nikomu,
Wskoczył na nią; po szczeblach pnie się coraz wyżej,
Wreszcie, zwinny i chyży,

Dostał się po drabince na słomianą strzechę.
Trudno opisać jego uciechę.
Biega tam i z powrotem, hałasuje, skacze,
Ale, kto zbyt wesoły- często potym płacze.
Spojrzał koziołek na dół, a tam chyłkiem bieży
Wilk... Koziołek, pewny siebie, odważny na dachu,
Kawałek drewna chwycił — i w rozmachu
Rzucił w wilka... Ten zęby wyszczerzy
I warknie: — No, poczekaj, znajdę ja cię jeszcze
I wtedy się z tobą popieszczę.
To mówiąc, pomknął drogą, wiodącą do lasu.
Upłynął coś tydzień czasu;
Koziołek, goniąc bąki brzęczące,
Po wonnej biegał łące —
W tym z lasu wilk wyskoczył, zwierz okrutny, srogi.
Koziołek w nogi!
Ale do domu było coś z pół mili...
Dognał wilk nieboraka... Ten główkę pochyli
I prosi: — Puść mnie, panie,
Co innego, lepszego znajdziesz na śniadanie!
— Tak? — rzeknie wilk szyderczo:
A pamiętasz, jak we mnie celowałeś drewnem?
I z wejrzeniem mściwem, gniewnem,
Rozwarł swą paszczę morderczą.
Mimo dzielnej obrony, zjadł koziołka wilk srogi;
Zostały tylko kopytka i rogi.

Orzeł i żółw.

Prosi żółw orła żeby go nauczył latać. Jakże możesz latać — rzecze orzeł — kiedy nie masz skrzydeł. Kochany orle, odpowiada żółw, nie pytaj się a tylko wynieś mię w górę i naucz latać! O! ja jestem bardzo pojętny.

Orzeł nie mogąc się wymówić, porwał żółwia, wyniósł pod obłoki i puścił, ale głupi żółw, spadł jak kamień i roztrzaskał się o skały:

Do czegoś nie stworzony nigdy nie myśl o tem,
Bo jako ów żółw głupi przepłacisz żywotem.